

Janusz Sławiński

Kazimierz Budzyk - nauczyciel

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2, 145-149

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Roztrząsania i rozbiory

Kazimierz Budzyk — nauczyciel

Piątego marca upłynęło osiem lat od śmierci Kazimierza Budzyka, wybitnego historyka i teoretyka literatury, nauczyciela uniwersyteckiego, zasłużonego organizatora polonistycznego życia naukowego. Zmarł mając 53 lata, a więc w wieku, który dla uczonych-humanistów bywa zazwyczaj okresem najbardziej pomysłnej pracy twórczej i najdojrzalszych osiągnięć przychodzących po długich latach studiów i lektur. Był postacią nieprzeciętną w środowisku polonistycznym nie tylko z racji swoich rozległych zainteresowań, angażujących bardzo wyspecjalizowane i w takim połączeniu na ogół nie występujące warsztaty naukowe (stylistyka, wersologia, księgoznawstwo, bibliografia, dzieje piśmiennictwa staropolskiego, teoria literatury, metodologia badań literackich), ale także — w równej mierze — jako niezmordowany pomysłodawca i inicjator poczynań kolektywnych, wychowawca młodej kadry badaczy i twórca zespołu naukowego.

Pragnę swoją wypowiedź poświęcić wyłącznie tej drugiej sferze działalności Profesora Budzyka. Jego prace badawcze, utrwalone w słowie pisanim, żyją w obiegu społeczno-naukowym. Są do dyspozycji każdego, kto poświęca swój wysiłek poznawczy zjawiskom, które absorbowwały kiedyś uwagę autora. Mogą być podejmowane lub korygowane, akceptowane lub kwestionowane, mogą stać się podstawą dla dalszych badań lub zadaniem do przewyżczenia dla następców. Podlegają normalnym prawom pamięci i zapomnienia w tradycji naukowej. W tym sensie są niezależne od pamięci indywidualnej. Natomiast aktywność pedagogiczna Kazimierza Budzyka, mam na myśli tę aktywność, która wykraczała poza standardowe zobowiązania dydaktyczne pracownika uniwersyteckiego i była rozwijana z myślą o tworzeniu nowych sytuacji w uprawianej prze-

zeń dyscyplinie, jest znana jedynie tym, którzy mieli okazję znaleźć się w polu jej oddziaływania, a więc utrwaliła się w pamięci nielicznych w końcu osób — uczniów i współpracowników Profesora.

Należałem do tej niewielkiej gromadki, która w latach 1955—1956 rozpoczynała pod jego kierunkiem pracę w nowo założonej Katedrze Teorii Literatury Uniwersytetu Warszawskiego. Byliśmy wszyscy bardzo młodzi, jeszcze nie zdołał obeschnąć tusz na naszych dyplomach magisterskich. Uruchamiając nową placówkę naukowo-dydaktyczną (pierwszą tego typu w polskich uniwersytetach), chciał Profesor, ażeby była ona nowa nie tylko jako instytucja, ale także jako zespół ludzi wraz z nią wzrastających. Programowo zaczyna od punktu zerowego — od metodycznego kształcenia współpracowników. Wielkodusznie i — trzeba powiedzieć — ryzykownie udzielał kredytu zaufania młodym osobom, które na dodatek studia odbywały w okolicznościach nie bardzo sprzyjających zdobywaniu rzetelnej wiedzy. W gruncie rzeczy wtedy dopiero, za sprawą Profesora, zaczęliśmy uświadamiać sobie właściwy sens słowa „studować”. Stawiał wysokie wymagania, często przerastające — o czym wiedział — nasze możliwości, ale wzywając do intensywnego wysiłku — sam nie szczędził swojego: nie był doradcą od święta i nie limitował czasu ofiarowywanego uczniom. Myślę, że ten rodzaj powinności dydaktycznych — praca z małą grupą ludzi związanych wspólnotą zainteresowań — po prostu odpowiadał jego naturalnym uzdolnieniom nauczycielskim, a zarazem mobilizował te uzdolnienia.

Zwykła dydaktyka uniwersytecka nie przynosiła mu szczególnych satysfakcji. Nie należał do wykładowców, którzy mogą liczyć na powodzenie wśród publiczności studenckiej. Nie był dobrym mówcą, wykladał sucho, abstrakcyjnie, jego teoretyzujące wywody sprawiały trudności słuchaczom nie mającym za sobą odpowiedniego treningu intelektualnego. Nie potrafił dawać wytchnienia opowiadaniem anegdot czy krasomówczymi popisami. Fakt, że źle słyszał, utrudniał mu dodatkowo styczność z audytorium. Był natomiast prawdziwym mistrzem dydaktyki kameralnej, w sytuacji dialogowej, gdy nie miał obowiązku przekazywania przetrwionej wiedzy, lecz mógł w bezpośrednim kontakcie dyskusyjnym z rozmówcami rozwijać myśli, z którymi sam się jeszcze w pełni nie oswoił.

Radykalizm pedagogicznych działań Kazimierza Budzyka polegał na tym przede wszystkim, że wymagał on od swych uczniów sprawdzianów niespecjalistycznych. Nie zadowalało go nigdy, że ktoś opowiadał — nawet dobrze — jakieś wąskie poletko badawcze. Specjalizacja warsztatu, twierdził, przychodzi w sposób naturalny z wiekiem, zaczynać trzeba od borykania się z problemami ogólnymi i podstawowymi w danej dyscyplinie. Jednym z pierwszych zadań, które wraz z dwojgiem kolegów opracowałem pod jego kuratelą, był... podręcznik teorii literatury. Trójosobowa ekipa autorów liczyła łącznie sześćdziesiąt siedem lat; jest rzeczą oczywistą, że w ta-

kich okolicznościach nie mogła powstać książka wartościowa. Napisał ją, została nawet opublikowana i szybko się rozeszła, nie ma jednak co ukrywać: był to utwór niedojrzały i kiepski. Ale Profesor wiedział dobrze, że rezultaty przedsięwzięcia nie będą olśniewające i bynajmniej nie przewidywanie wysokich wartości podręcznika nim kierowało, gdy skłaniał nas do tej roboty. Stawiając takie zadania, zmuszał nas do przemyślenia od podstaw pewnego całościowego kompleksu problematyki i do uprzytomnienia sobie, jak zbudowana jest dziedzina wiedzy, którą mieliśmy uprawiać.

Wiedział zarazem, że tego rodzaju przedsięwzięcia (podejmowaliśmy je kilkakrotnie jeszcze w następnych latach) sprzyjają jak mało co krystalizowaniu się zespołu naukowego. A przeświadczenie o pożytkach — zarówno społecznych, jak i badawczych — naukowej działalności kolektywnej towarzyszyło wszystkim inicjatywom Kazimierza Budzyka, więcej: było ideą naczelną tych inicjatyw. Respektował różnorodne zainteresowania uczniów, doceniał ich kompetencje w wybranych dziedzinach, ale rozumiał — i tego rozumienia uczył — że prawdziwie zespołowa praca nie polega na prostym sumowaniu się robót indywidualnych, lecz stawia przed każdym z uczestników obowiązek ustawicznego przekraczania swojej domeny problemowej. Na seminariach prowadzonych przez Profesora w Katedrze Teorii Literatury referowano wyniki bardzo rozmaitych poczynąń. W tym samym okresie program zebrań mógł obejmować tak różne elementy, jak pamiętnikarstwo siedemnastowieczne, staropolska proza historiograficzna, wzorzec poetycki Kochanowskiego, poetyka sentymentalizmu, wiersz romantyczny, powieść dziewiętnastowieczna, liryka Tuwima, awangarda poetycka okresu międzywojennego. Od każdego z uczestników Profesor oczekiwał gotowości myślowej — sam dając jej przykład — do podejmowania cudzych zagadnień, dyskusyjnego i współtwórczego zaangażowania w sprawy zajmujące kolegów, nawet jeśli były one od własnych bardzo odległe. W dyskusjach tych — ostrych i na ogół bezceremonialnych — konkretna praca historycznoliteracka stanowiła zawsze punkt wyjścia, ale punkty dojścia znajdowały się poza sferą jej tematu. W grę wchodziły nieodmiennie kwestie metodologiczne: strategia postępowania analitycznego, narzędzia interpretacji, terminologia, czyli — mówiąc ogólnie — język badawczy, a więc to, co może odgrywać rolę czynnika jednoczącego różnorodne — ze względu na ich przedmiot — usiłowania naukowe.

Profesor dysponował niecodzienną umiejętnością rozpoznawania w złożoności zjawiska zarysów sytuacji modelowej, tłumaczącej ową złożoność w sposób tyleż przekonywający, co elegancki. Starał się zaszczerpić nam tę wrażliwość na prostotę i ogólność, ukryte pod przebraniem skomplikowania i partykularności, wrażliwość, bez której trudno sobie wyobrazić myślenie teoretyczne. Widział sens tylko takich prac szczegółowych, które oświetlają jakąś większą całość problemową i wprowadzają punkty widzenia pozwalające zo-

baczyć teren rozleglejszy od bezpośrednio obserwowanego. Wymagał zarazem, aby w każdym przedsięwzięciu były wyraźnie określone granice dziedziny, której ono dotyczy. Niezdolność specyzowania przedmiotu zainteresowań drażniła go w najwyższym stopniu. Postulat określoności miał dla niego — jak się zdaje — znaczenie nie tylko metodyczne, ale i moralne. Badacz nie umiejący jednoznacznie zidentyfikować obszaru zajmujących go zjawisk, a więc pozwalający sobie na rozprawianie o „nie-wiadomo-czym”, na gadaninę, przedstawiał się jego oczom jako człowiek nie będący w stanie określić również samego siebie, swego „ja” społecznego, a nic nie było mu bardziej obce — żeby nie powiedzieć wrogie — niż niejasność postawy, bezgraniczność poglądów czy sympatii. O kimś powiedział, że nie ma do niego zaufania, bo ten chce ze wszystkimi żyć w przyjaźni. Kluczowym terminem jego dydaktyki było słowo „zasadność”. Praca naukowa — tak własna, jak cudza — objawiała Kazimierzowi Budzykowi wartość nie w gromadzeniu takich czy innych, choćby najbardziej frapujących, obserwacji i ustaleń, lecz jako trud scalania i strukturalizacji danych faktycznych, jako wznoszenie kompozycji teoretycznie prawomocnych, poddających się kontroli innych umysłów, czyli odpowiedzialnych.

Szczególnie uderzało w dyskusjach z nim to, że w wypowiedziach partnerów doszukiwał się zawsze ukrytych, a ważnych racji. Będąc bezwzględny wobec pustostłowa i koniunkturalnego frazesu, nierzadkich przecież w naszej dyscyplinie, potrafił zarazem w niejasnych czy niewprawnych sformułowaniach cierpliwie odkrywać domyślne warstwy sensu, przyjmował cudze oświadczenia w ich optymalnym upoosażeniu treściowym. Posiadał w stopniu rzadko spotykanym umiejętność, jakże doniosłą dla pedagoga, racjonalizowania wypowiedzi rozmówcy. Dyskutując z nim miało się wrażenie, jak gdyby własne myśli odsłaniały nowe strony; okazywało się, że to, co mówię, ma znaczenie, którego przedtem nie przewidywałem, obiektywne, zatem ważne.

Tolerancja i takt Profesora: nigdy w sporach nie przywoływał w roli argumentu swojego autorytetu. Wartość poglądów była dla niego niezależna od tego, kto je głosił; ważne było jedynie i rozstrzygające, czy zasługują na miano poglądów. Nie miał nikomu za złe upierania się przy swoim, akceptował postawę niezgody na własne racje, jeśli tylko ktoś zajmujący taką postawę potrafił znaleźć dla niej dostatecznie mocne uzasadnienia. Najchętniej uprawiał immanentną krytykę diskutowanych koncepcji, przyjmował lojalnie czyjeś założenia, starając się je usprawnić i rozwinąć. Dlatego też dyskusje z nim miały charakter konstruktywny, nie przekreślały na ogół osiągniętych na jakimś etapie rezultatów, lecz umożliwiały posuwanie się dalej po obranej drodze.

Współpraca z Kazimierzem Budzykiem była dla nas nie tylko szansą kształcenia się i osiągania wyników w działalności badawczej. Była w nie mniejszym stopniu szkołą doświadczeń w szeroko pojętej aktywności dydaktycznej i organizatorskiej. Profesor nie

potrafił traktować tych dziedzin rozłącznie. Jego uwagę wciąż zaprzątały sprawy reformy polonistycznych studiów uniwersyteckich (erudycyjny typ kształcenia studentów uznawał za anachroniczny przeżytek), szkolenia nauczycieli i pomocy naukowych (w zespolonych przedsięwzięciach prowadzonych pod jego kierunkiem jedno z czołowych miejsc zajmowały prace nad podręcznikami). Wielką wagę przykładał do pouniwersyteckiego kształcenia młodych pracowników naukowych. Był jednym z pierwszych propagatorów idei studiów doktoranckich w naszej dyscyplinie, a zapewne pierwszy stworzył eksperymentalny program takiego studium. Z inicjatywy Profesora powstała instytucja corocznych konferencji teoretycznoliterackich młodych polonistów, która w swoim dotychczasowym istnieniu, już przeszło dziesięcioletnim, urosła do roli ważnego składnika w życiu naukowym środowiska. Wszystkim tego rodzaju poczynaniom poświęcał wiele czasu i energii. Wiadomo, jakie ceny płaci się u nas za działanie nie mieszczące się w zdrewniałych ramach instytucjonalnych kompetencji, jakiej przebiegłości i jakiego uporu potrzeba, ażeby zrobić coś społecznie użytecznego, ale nie przewidzianego przez programy odnośnych urzędów. Kazimierz Budzyk pochodził z rodziny tych, którym zależy. Był społecznikiem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie znosił partykularyzmu, zamkniętych środowisk, dzielnicowych interesów, tak jak nie otaczał sympatią zbyt daleko posuniętej specjalizacji zainteresowań badawczych. Pozostał w pamięci swoich uczniów i przyjaciół jako człowiek ustawicznie pokonujący w sobie pokusy konformizmu i wybierający, często przeciw własnemu interesowi, drogę otwartego sporu z tym, co uznawał za niesłuszne lub naganne.

Janusz Sławiński